Rozmaitości.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego. N^er 38. Zaliczenie na 3 miesiące kosztuje Złp: 3.

Kraków dnia 21 Września 1834 roku.

KAPRYSY.

IMPROWIZOWANIE KOMPOZYCYI LIPINSKIEGO.

—

Co za posępne myśli ze wszech stron mnie tłoczą!..
Utraciłem wesołość,— nadzieję uroczą;
Zdaje mi się że spadam na bezdenność morza,
Gdzie mi więcéy słoneczne niezaświécą zorza;
Znikają słodkie chwile życia mego wiosny,
Smutek we mnie uderza, jak piorun w szczyt sosny;
Cały świat znienawidzam!... krew się we mnie warzy,
Ziemia po któréy chodzę, stopy moje skwarzy;
Słońce.... ogień piekielny rzuca na mą głowę,
Rozpacz sama zaprawia dni moich osnowę,
Nic mnie więcéy niecieszy!... Precz marności złota,
Z którego ród swóy podły wywodzi niecnota!
Ty krwią ludzką frymarczysz, ty sumienie gwałcisz,
Niemasz zbrodni, któréy ty w powab nieprzykształcisz;
Ciebie wściekłość Meduzy na ziemi wylęgła,
I obłudę z łakomstwem przy twym wozie sprzęgła;
Ciągniyciesz go nikczemnie,— wy! co nam sowicie
O miłości bliźniego dzień i noc prawicie!
Nuże!... ty obłudniku... co się to nią wzdymasz,
A śmierć zatrutéy żony za nic sobie niémasz!
Wyprawiłeś jéy pogrzéb,— i bardzo wspaniały,
Aż furyje piekielne zębami zgrzytały;
Podczas smutnéy *exorty* wylałeś łez tyle,
Że ich więcéy niemogą wylać krokodyle;
Jedną ręką dźwigałeś posępną gromnicę,
Z któréy krwawe promienie raziły twe lice;
A drugą już w kieszeni trzymaną ukradkiem
Dzieliłeś się z czartami niegodziwym spadkiem;
Potém grubą żałobę nosiłeś rok cały,
Którą w białe obwódki jędze obszywały;
Lecz jeszcześ twego szczęścia niezapewnił sobie,
Córka cię jeszcze trapi,— jakżeś miał struć obie!
O ty układny lisie, gdzież ty niepodliziesz;
Zatrułeś biédną matkę,— a córki dogryziesz!...
Już jéy tylko cień ledwo płacze się po ziemi;
Już ją na wpół zabiłeś zbrodniami twojemi;
Każ dla niéy dół wykopać.... i czegóż się boisz?...
Ty jéy łez po wydartéy matce nieukoisz...
A siądźże przy jéy łożu, w którém śmierci czeka....
Przybierz niewinną postać tkliwego człowieka....
Udaway gorzki smutek nad jéy biednym stanem!...
Czegóż się jeszcze wachasz?— prędzéy będziesz panem..
Patrz! ciesz się!.. już skonała!— Cicho... jeszcze ciepła..
Jeszcze krew nieostygła.... jeszcze niezakrzepła...
Na palcach chodź, żebyś jéj ze snu nieobudził....
Teraz czas!.. zaczniy płakać, żebyś motłoch złudził!..
Załamuy rąk... krzycz: »*Gwałtu!.. córka ma nieżyje!..*»
Czy słyszysz jak syczeniem wtórują ci żmije?...—
Nie!... nie!... niemogę dłużéy patrzéć na zbrodniarza!..
Twóy oddech jest piekielny.... powietrze zaraża...
Idź...— tam pod uschłą lipą, na rozstaynéy drodze,
Czeka cię twa bogdanka utęskniona srodze...
Spiesz, ochłodzić jéy usta na węgiel spalone,
Wszakże już pochowałeś i córkę i żonę!—

—

Cóż to za wściekły wicher na około wyje,
Grom z gromem się roztrąca, grad ognisty bije...
Lawa potokiem spada i wszystko pożéra!
Może gdzie w udręczeniach jaki łotr umiéra,
Albo też syn niewdzięczny,— płód wyklętéy ciąży,
Z zimną krwią nóż morderczy w łonie oyca grąży...
Może niewinność ginie ofiarą bezprawia!...
Nie,— to obłudnik swoje wesele odprawia...
Czy widzisz narzeczoną? - O jaka wspaniała!
Do śmierci poprzedniczce swéy wysługi wała....

Niepatrz z takiém wrażeniem na jéy lica blade...
Kiedyż czyste kolory cechowały zdradę?...
Niewzdrygay się zwiędłością i wpadłémi oczy...
Bo to robak sumienia już jéy serce toczy!...
Widzisz tych weselników? przypatrz im się z bliska..
Dym czarny z ust im bucha... z oczu ogień pryska....
Wściekłość... uśmiéch zdradziecki na licach wydaje...
A potworów podziemnych rozjuszone zgraje
Do ślubu im torują krwią zbryzganą drogę.....
Nie!— już tego widoku dłużéy znieść niemogę....
Uchodź ztąd spokoyności, tu zguba dla cnoty;
Tu wśród weselnych pląsów, gorzkie brzmią zgryzoty..
Niewinna krew o pomstę, sądy Nieba wzywa!

—

Cóż to za obraz nowy oko me odkrywa?...
Wielki Boże!... co mi jest?.. gdzież się to znayduję!..
Dopiérom nóż miał w sercu.... już bólu nieczuję!...
Litość zabiéra mieysce zgrozy i zbrzydzenia,
Kilka łez uronionych, w czułość je zamienia.—
... Gdzież to idziesz biédne dziécie?
O nieszczęsna! jéy oko czarna mgła pokrywa!
Ach! ty łzy ronisz obficie?
Miałażby tobą wzgardzić matka niegodziwa,
Lub srogość oyca tyrana?...
Czyliż w nim twe kalectwo żalu nieobudzi?
Czy dusza zahartowana
Wyrzekła się litości, i nieba i ludzi?
Milczysz i płaczesz sieroto?...
Powiédz, gdzie są poczwary co cię porzuciły!...

—

— Szliśmy unużeni slotą.
Ja,— siostra moja, matka, i móy rodzic miły,
Wszyscy memu sercu mili....
Ach!... ja tak ich kochałam i kocham tak jeszcze,
Że chociaż mię opuścili,
Wspomnienie ich nad wszystko w duszy mojey pieszczę.

—

Tu mię odbiegli, tu mię zostawili śpiącą;
Ale ich nieoskarżam, tylko nędzę własną;
O! niech im żadne klęski szczęścia niezamącą,
I nadzieje nieprzygasną!
Niech im nawet Emira w myśli niepostanie,
Jeśliby doznać mieli zgryzoty sumienia;
Niech sobie raczey zbrzydzą moje przywiązanie:
Wolę ich wstręt, jak cierpienia.
Cóż ze mnie za pożytek, co za pomoc mieli....
Na cóżby im się moja ślepota przydała?
Oni teraz bezemnie wędrują weseli....
Jam tylko płakać umiała.
Przechodniu, zaprowadź mnie na szczyt jakiey skały,
Tam silnieysza moc wiatru łzy moje osuszy;
Jęki me, jeszcze z tamtąd będą ich żegnały,
Może ich móy widok wzruszy...
Ale nie.... tu mię zostaw— już oni daleko...
Już nawet zapomnieli że błądzę po ziemi;
Prowadź ich Wszechmocnego naywyższa opieko!
A duszę moję złącz z niémi!... —
Córko! zawoła oyciec, wypadając z groty,
Emiro! krzyknie matka, siostra rozczulona,
Nieba nam tak radziły doświadczyć twéy cnoty;
Póydź, póydź do naszego łona....
Tu... do serc... zapłakane przytul twoje oczy...
Tu one wzrok odzyszczą z woli przeznaczenia;....
Czy słyszysz harmoniją... ten dźwięk jéy uroczy!..
Słyszysz te aniołów pienia?...—

—

Emira wzrok odzyskała...
O nadziei, radości naytkliwsze ponęty!....
Roskosz mą duszę porwała!...

—

Z twojéy to gry, Lipiński!... z niéy ten obraz wzięty!
Ciebie słysząc, naprzemian wszystkie czucia dzielę...
Posępność... melancholją... smutek... i wesele;
Dopiéro nad przepaścią stoję zadumiony....
Już mię w niebo unoszą twe czarowne tony;—
Ledwieś w smętnych marzeniach pogrążył mą duszę...
Już ci mię z nich ocucasz.... że łzy ronić muszę.
Z szybkością błyskawicy, jakby ręką Flory,
Gdzie cheesz, tam rzucasz bladość, gdzie chcesz tam kolory,
Bo dźwięk twéy harmonii ma pędzla przymioty;
Tu malujesz występku, tam obrazy cnoty;
Wymowa, pòezya, są pod twoją władzą,
Jakich ty żądasz wrażeń, takie ci oddadzą!..
Ty gardzisz drobnostkami, wielkość twoje godło,
Z niéy twych czarownych tonów słodkie płynie źródło.
Z niéy ten obraz uczuciów, jeden moment zdarzył..
Tyś grał twoje Kaprysy, — jam tak przy nich marzył

DZIECIE.

POWIEŚĆ PRAWDZIWA.

Z dawnego rękopismu przerobiona.

—

Było nas dwóch braci, z uczciwego rodu. Oyciec nasz nazywał się Mikołay Moraczewski,— mnie na chrzcie dostało się imie Stanisława, mojemu bratu starszemu Kazimierza. Od niemowlęctwa kochaliśmy się oba tak serdecznie, że jeden bez drugiego w żadną stronę niewychylił.— W szkołach krakowskich odebraliśmy nauki.— Król Jan Kazimierz wtedy panował.— Gadali o nim źle i dobrze, jak zwykle o monarchach. — Ale to tylko prawda, że ci, co

go niedoznali jak chcieli, dziwne rzeczy na tego dobrego Pana miotali; a i między łaskawnisiami, wielu było niewdzięcznych co go czérnili; bo zawsze ludzie za dobre złém płacą.— Mnie to przecież niegorszyło, i owszem zachęcało do służenia pod nim na wojnie, bo był waleczny, tego mu i dworskie lisy niezaprzeczały. — Otóż tedy ja poszedłem do pancernych, a móy brat do kancellaryi wojenney, bo niemiał ochoty a bardziey powołania do korda. Ale głowa równie dobra jak serce. Poznali się na chłopaku i powszechnie go wychwalano, że do pióra zuch;— a tak sobie od szczebelka do szczebelka szedł w górę, aż naostatek i sam Król Jmci dyktował nieraz a on pisał, — i czasem doradzał, że tak będzie lepiey. — Co do mnie, miałem, (powiedzieć śmiem po Bogu a prawdzie) więcey odwagi, a za Króla Jmci tobym się dał był na sztuki posiekać. Dla tego też całą moją mądrością było, kiedyśmy ruszyli w pole, ruszać na przód, rąbać się ze Szwedami, którzy nam srogo dokuczali.

Tak się rozpoczęły, przy łasce Boga nasze młodociane zawody.—Każden z nas jak to mówią grał na siebie, i wiodło się niezgorzey.— Obadwa musieliśmy się rodzić pod wesołą gwiazdą, bo kubek w kubek: kiedy się jeden uśmiechnął to i drugi. Łza jeśli postała w oku, to jedynie z rozczulenia, kiedyśmy się na jaki czas rozstawali, a bywało to częstotliwie, bo ustawiczne wichry Pan Bóg zsyłał na kray nasz. Wtedy Kazimierz, u króla Kazimierza pisywał w namiocie, a ja odziany kiereją, koczowałem na podjazdach. Czy śnieg, czy deszcz, czy mróz, to było wszytko jedno. W woynie wygód niemasz, tylko trudy i znoje, ale cz góżby człowiek nieuczynił dla poczciwego przyjaciela, — dopieroż dla ukochanego króla i pana? Ale bo też my Polacy, to jakoś w przygodzie, do naszych Miłościwych Panów z duszą i sercem lgniemy, kędy skiną, to my wszyszy tam; wyjąwszy garstkę złych, co się w każdym kraju znaydą nietylko w Polsce; boday się nigdy nierodzili! Jakem ja też to nieraz oto poswarzył się z Panem Waręskim? Zawsze był niekontent z Króla Jmci, a to dla tego, że mu się podwarazy niedostało wakujące rotmistrzostwo, bo lubił kłutnie i za to go niepolecano Królowi Jmci. Ja tedy w przeprawie pod Warką tak się sprawiłem zuchowato, że mnie Jmci Pan Hetman, ów to straszny uganiacz Szwedów, Jmci Pan Stefan Czarniecki, do boku swego wziął, darował mi konia kasztanka, co na nim potem nieraz dokazywałem.— Przy łasce Pana Boga, w sześć lat służby, zostałem rotmistrzem pancernym i miałem się dobrze; ale przecie nie tak jak móy brat, bo on oprócz większego jeszcze nademnie znaczenia u dworu, i więcey miał w szkatule. Podarunków od króla Jmci co niemiara! Słowem opływał we wszytko i ożenił się po skończoney woynie bogato, wziął bowiem lubo daleką krewną. Pana Wojewody Sandomierskiego, ale z dobrém wianem. Dobrana też to była para. Móy brat bowiem tak był dorodny, że go prawie wszytkie niewiasty uważały; a ona, to czysta jako Dyanna, a śliczna jako Wenus. Kochali się jak dwie synogarliczki; — aże Kazimierz rad był koniecznie, abyśmy z sobą razem żyli, tyle mi głowę kłopotał, że dla miłości jego, musiałem zawiesić szablę na kołku, i osiąść przy nim na wiosce pod Sandomierzem, dziedziczney z żonki,— niemając sam powołania do stanu małżeńskiego. Tak na wzajem z siebie kontenci; żyliśmy przez lat ośm w szczęściu i błogosławieństwie nieba. Mieli oni jedyną córeczkę Zuzankę, która nas wszystkich była pieścidłem. Dziecie to, było takie szczebiotne, czułe i dowcipne, że nieraz rozpływaliśmy się przy niém. Oyciec też nieraz mawiał: Już też jestem na naywyższym szczeblu uszczęśliwienia! że się nieraz boję aby mi kto nieurzekł, lub Pan Bóg niedoświadczył. Sprawdziły się też niebawem słuszne jego zomysły. Elżbieta, (jest to imie małżonki) przy nayczulszey miłości, była trochę zazdrosna i nielubiła bardzo, kiedy Kaźmierz uśmiechnął się czasem do inszey. Na nieszczęście, podała się do tego przeklęta okazya. Ciotka Elżbiety, Pani dumnieysza niż bogata, a przytém jey opiekunka, bo ją rodzice dzieckiem odumarli, przyjechała do nas pewnego razu w święta bożego narodzenia, i przywie-

zła z sobą ładną panienkę Maryannę Zawalską, na przyjaźni będącą, trochę pustotną i umizgliwą.— Już to tak złe chciało, że ta Panna, na mnie com był wolny i młodszy, ani spoyrzała, a na Kaźmierza to zawsze miała wlepione oczy, jak w tęczę. Z początku nic,— bo on togo niezważał. (Ja zimno wszystko widziałem.)— Ale kiedy kogo ma spotkać nieszczęcie, to mu zastawi sidła, że nayniewinniey w nie wpadnie. Kazimierz, Bogiem świadczę, niepomyślał źle, ale co panna Maryanna, to widocznie sobie coś uroiła pustego, że prawie wszędzie zabiegała mu drogę. Coż się tedy dzieje? Jednego wieczora wyśliśmy oba do ogrodu, bo to już było w Maju, a wysiedziały przy nas obie jakby z przeznaczenia przez całą zimę.

Wyszliśmy mówię, o różnych potocznych rzeczach rozmawiając z braterską poufałością. Mnie wypadło na chwilę oddalić się od niego, żem go zostawił siedzącego nad stawem. Nie wychodzi pół godziny, słyszę wielką wrzawę, płacz, narzekania, a nayglośniey starszą Jeymość. Przybiegam spiesznie: aż tu Elzbieta wybladła w mgłościach,— Panna Zawalska w ślochach,— Jeymość w dąsach, a mój brat u nóg śliczney Elżbiety świadczy się niebem, że jest niewinny. Cóż to jest przez Boga? zawołałem. »Oto, mówi mi, ta panienka ze- »szła się ze mną niespodzianie w tém mieyscu »(było to przy gęstém gaiku)— nieszczęście ją »nawiodło, żem ją żartem w pół ścisnął— niech »zaraz ducha wyzionę, jeśli w niegodziwym za- »miarze, a tu Jeymość z moją Elzbietą nay- »milszą, nadchodzą na to i widzisz bracie co »z tego!»

Oniemiałem na te słowa, ale na tę Pannę Zawalską to zębami zgrzytnąłem. Otrzeźwiliśmy czémprędzey biedną Elzbietę, która po odzyskaniu zmysłów, zaniesiona do swey komnaty, podżegana od złey niewiasty ciotki, niechciała więcey mówić z Kazimierzem, rzewliwie rozżalonym.— Z małey iskierki wielki pożar bywa.— Kobieta złego serca, to prawdziwe piekło na ziemi. Już od dawna i tom spostrzegał, że ta złośliwa Pani, to jest ciotka, niemiłem okiem uważała miłość i jedność tych cnotliwych małżeństwa, i jakby ją zły duch podżegał, na ich szczęście.— Jak furya piekielna huczała na Kazimierza, nazywając go podłym przeniewiercą, obłudnikiem, a ja ledwiem już jey co niepowiedział, bo on biedny rąk tyle załamywał, czując się nayniewinniey napastowanym. Kiedy naostatek nie było temu miary, ozwałem się, cały dygocąc od obrazy: A cóż to sobie JmćPani Miecznikowa myślisz? A godnaż to rzecz takiey osoby, niezgodę i obrazę boską wszczynać w stadle małżeńskim? Ciotkaż to, albo jędza piekielna tak robi? Cóż to za zbrodnia pożartować z dziewczyną, zwłaszcza że przez swoją pustotę sama daję do tego pole? Panna Zawalska jak wiatr jaki lata po wszystkich kątach, chichocze się nadskakuje, a to raczey trzeba ją ująć w kluby, mając nad nią opiekę. Dziesięć lat żyjąc poczciwie z połowicą jak mój brat, możnaż mu się zaraz zakochać, jeszcze w takiey Boże odpuść wietrznicy?— Cicho! krzyknęła na mnie i widziałem w jey oczach iskry. »Co WcPanu wdawać się w te sprawy? Ja mojey siostrzenicy nie dam na frymark rozpuście. Znaydę sposób wybawienia jey z tey Sodomy!» To powiedziawszy tedy mnie — trzasła drzwiami i pobiegła do niey, grożąc bratu konsystorzem i rozwodem. Już też Elżbieta zaczęła jey podżegom stawiać ucho i ani chciała na żaden sposób dać się oglądać Kazimierzowi.— Co tam zważasz Panie bracie, rzekłem do niego po chwili, o to kiedy i twoja żona cię krzywdzi niewiarą, zostaw to czasowi, a wszystko poydzie po Bogu. Kiedy twoje sumienie czyste, to i Niebo uymie się za twoją niewinnością.—

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚĆ LITERACKA.

W tych czasach jeden z poetów francuzkich, wydał w Paryżu nowy poemacik w trzech pieśniach pod tytułem: Nowa Farsalia.

Zdaje się że to jest dalszy ciąg znaney Brzytweidy; a wyraz farsa, podciągniony pod Farsalię.—